

Wszystkie osoby i wydarzenia
opisane na tym blogu stanowią
odbicie rzeczywistości.
Dlatego proszę ewentualnych czytelników
o to, żeby pamiętali, jak krzywe potrafią być zwierciadła.

Maćkowi

PRZYŁĄDEK DOBREJ NADZIEI

Księżyc zaczepił się o dźwig gdzieś w okolicach placu Unii i tam ugrzązł, pewnie na całą noc. Wielki, pomarańczowy, trochę spłaszczony u góry balon. Tuż poniżej wyzywająco błękitny neon z napisem „PKO” i ciemne bloki schodzące w dół ku uliczce, która prowadzi prosto do moich okien. W mdłym świetle latarni pełzną po niej niepokojące cienie łysych topoli, wyschniętych zimą jak staruszki, których skóra pomarszczyła się, spierzchła i przyrosła do kości. Próbuję sobie przypomnieć, jak się czułam, zanim to wszystko się zaczęło, zanim zaczęłam spadać, żeby w końcu zatrzymać się tu, wpatrzone w miejską noc.

Parę dni wcześniej, a może to był tydzień, niewykluczone też, że dwa czy nawet trzy, w każdym razie to był styczeń. Koniec styczenia chyba. Mokry i przegniły, taki niewydarzony, ni to styczeń, ni marzec. Błoto i topniejący w brudnych kałużach śnieg, zimna, dokuczliwa mgła w nieokreślonym kolorze i zaschnięte kikuty butwiejących traw. Tuż przed tym, jak się to wszystko zaczęło, postanowiłyśmy z Joanną wyjechać na Mazury. Spakowałyśmy małego Krzysia do samochodu. Zaraz za Warszawą, na pierwszym postoju, wdepnęłam w gigantyczną kupę ludzką i umazałam sobie w gównie sznurowadła, tak że przez całą drogę śmierdziało w samochodzie, chociaż Joanna twierdziła, że nic nie czuje. Krzys spał, jadłyśmy pierniczki oblewane czekoladą, piłyśmy kawę i rozmawiałyśmy o tych wszystkich

sprawach, o których wiedzą przyjaciółki, a mężowie nie, i nagle asfalt się skończył, a my zamiast stanąć i zawrócić, wjechałyśmy w las, zmusiłyśmy samochód do mozolnej jazdy po mokrym piachu, coraz głębiej i dalej, aż do zamrznętego jeziora, po którym chodziły kaczki. I wtedy to poczułam, bezpieczeństwo i pewność, bo naprawdę wierzyłam, że tamte sprawy są już poza mną i nigdy nie wrócą, że jestem nietykalna przy tym jeziorze, na pobrużdżonej śladami opon drodze. Zaczął się dla mnie okres stabilności, spokojnego wchodzenia w wiek średni i na to czekałam, z tego się cieszyłam.

Załamanie nerwowe powinno być uzasadnione. Jakieś przepustki powinno się na nie wydawać albo talony od nie-szczęść, którymi można by się w razie czego legitymować, punkty takie jak na stacjach benzynowych: śmierć bliskiej osoby – 120, niezdany egzamin – 5, przeprowadzka – 21, nagła choroba – 17, rozwód – 98. Ja tych punktów nie nazbierałam, jak na złość średnio ich mam, ani dużo, ani mało...

PUNKT ZWROTNY

Wracamy ze Stanów. Nowa praca. Nie dostałam grantu. Wyrzucają mnie z pracy. Znowu nowa praca. Mam umowę wstępną do lipca. Muszę się bardzo starać. Czuję się jak podłączona do wysokiego napięcia. A potem on mi to mówi i wtedy się zaczyna. Chciałabym sobie poradzić, stanąć na wysokości zadania. To wszystko drobiazg, głupstwo, błahostka. Chciałabym zachować klasę, zacisnąć zęby i trzymać fason, tymczasem jestem bardzo słaba. To chyba eufemizm. Jestem kompletnie do niczego. Tarzam się po podłodze i wyję całymimi godzinami. Jestem bezsilna jak

dziecko, bezradna jak niemowlę. Schudłam sześć kilo, nie śpię od ośmiu dni, mogę się zdrzemnąć, ale tylko kiedy leżę bezpośrednio na nim (na dłuższą metę to trudne do przeprowadzenia). Ciekawe, ile tak można...

Dostałam wysokiej gorączki. Leżę na rozłożonej sofie w naszej małej sypialni i staram się za jednym zamachem przeczytać wszystkie książki, o jakich opowiadał mi Szymon, a o których nie chciało mi się wcześniej słuchać z powodu wrodzonego lenistwa i niezdrowych skłonności do spania, leżenia, pokładania się i oglądania kiepskich filmów w telewizji. Nieustannie towarzyszy mi uczucie strachu, paniki nie do przezwyciężenia. „Gdzie jesteś?” „Zaraz przyjdę, tylko zrobię herbaty”. „Nie zostawiaj mnie!” „Nie zostawiam cię przecież, jestem tu”.

Trzymam go całymimi godzinami za rękę, wtulając twarz w szorstki sweter, odciskając ślady po guzikach na policzkach, wdychając lekko mdłący zapach cudzego potu i przesuszanej wełny. Najtrudniejsze są momenty, kiedy znika z pola widzenia na dłużej, idzie po bułki do sklepu albo na pocztę czy do kiosku. Biegam nerwowo od okna do okna, liczę minuty i kwadranse, w końcu zaczynam wymiotować.

EMILKA

Po dziesięciu dniach udaje mi się wyjść z domu. Siedzę w pluszowym fotelu, opierając nogi o kaloryfer. Na podłodze leży Emilka w ciąży, wielka i powolna jak wieloryb, którego morze wyrzuciło na brzeg. Dwójka małych dzieci pełza wokół niej. Mieszkanie jest brzydkie, brzydkie i zaniedbane, zatłoczone niepotrzebnymi sprzętami, pełne porzucanych zabawek, plastikowych pudełek

Trzaskam drzwiami tylko dlatego, że wiem, że mogę sobie na to pozwolić. Wychodzę w wilgotną, zimną mgłę, zmniejszającą światło padające z okna na parterze, w którym stoi Emilka i macha na pożegnanie.

W PIZDĘ NA PIĘĆ

Po dwóch tygodniach wracam do pracy. Pierwszy dzień mija w miarę bezboleśnie na przygotowywaniu potraw do eksperymentów, myciu szkła i wyrzucaniu starych szalek z martwymi bakteriami. Kolejne dni przynoszą niepokój o poranku i panikę popołudniami. Przestaję pracować, przestaję też udawać, że pracuję. Staram się zająć myśli prostymi obrazami: czytelnikiem na liczniku, strzałką wagi, liczbą obrotów wirówki, ale i tak wymykają się spod kontroli, wędrują ku niebezpiecznym obszarom, rosną, puchną i pączkują we mnie jak drożdże, wypychając zdrowe komórki nerwowe na obrzeża świadomości. Z męczącą regularnością powracają obrazy, których siła odbierała mi głos i możliwość ruchu. Wiem, że to minie. Tak w każdym razie myślę. Trzeba czasu, zaufania, trzeba cierpliwości, dystansu. Chociaż dzisiaj zaczęło do mnie docierać, że nie czuję się ani odrobinę lepiej niż dwa tygodnie temu. Nadzieję na to, że dzięki laboratoryjnym białom odwrócę uwagę od natrętnych myśli i wyolbrzymionych problemów, które zaległy się w mojej głowie, postanawiam odłożyć do poniedziałku. Zamiast zrobić coś pożytecznego, spędzam siedem godzin, włączając się po instytutowych korytarzach, przeglądając wiadomości na komputerze i pijąc kolejne kawy, które w połączeniu z narastającą histerią doprowadzają pod koniec dnia do palpitacji serca. Wracam do domu

o czwartej, kładę się na kanapie i leżę z zamkniętymi oczami do siódmej, nie robiąc obiadu, ignorując Manię, która próbuje opowiedzieć mi, co się działo w szkole. Wstaję tylko dlatego, że Szymon się spóźnia (według moich obliczeń powinien się zjawić całe cztery minuty wcześniej). Kopię psa, który niechcący nawinął mi się pod nogi. „Co się gapisz!” – krzyczę na Manię i trzaskam drzwiami od jej pokoju.

Telefon.

„Zaraz będę, wstąpiłem tylko po drodze do apteki”.

Ulga.

Wątpliwości.

Panika.

Do jakiej apteki? Po co do apteki? Przecież nic nie potrzebujemy. Na pewno rozmawia przez telefon i nie chce, żebym słyszała, więc stoi gdzieś na dworze, pod latarnią. Kłamie. Dlaczego kłamie? Dlaczego tak mnie męczy?

Zastaje mnie skuloną pod szafą w przedpokoju. „Co się stało?” „Nic”. „Przecież widzę...”

Ciężkie milczenie. Jego zmęczone spojrzenie. Zamykam się w łazience i szlochając, upadam na podłogę. Przez drzwi słyszę, jak tamci dwoje rozmawiają przyciszonym głosem. Bzyczy komputer. Mania zapada się w swój wirtualny świat. Coś kołysze się we mnie i uspokaja. Wycieram twarz mokrym ręcznikiem, odkręcam kran i wchodzę pod prysznic. Przyciskam policzek do zimnych bładniebieskich kafelków. Strużka krwi miesięcznej spływa mi po prawym udzie. Siadam w zabarwionym na czerwono brodziku i pozwalam wodzie płynąć gorącymi falami po włosach i plecach. Zbieram się w sobie, uspokajam bicie serca, głęboko wciągając powietrze przez nos i wydychając ustami. Gąbką namydlam dokładnie każdą część ciała po kolei. Kucam w brudnych mydlinach, owijając jednocześnie plecy białym

ręcznikiem. Jestem śmiertelnie zmęczona i nie mam siły, żeby założyć z powrotem przepocone ubranie i przygotować kolację. Z ponurą satysfakcją odnotowuję, że zabrudziłam ręcznik rojem drobnych rdzawych plamek, tak jakbym mogła zrobić tym faktem komuś szczególną przykrość. Ale mama, która piętnaście lat temu urządziłaby mi karczemną awanturę, że nie szanuję cudzej pracy i brudzę ręczniki podczas okresu, dawno już po mnie nie pierze, sama będę musiała się zająć usuwaniem skutków własnej niedbałości. Stawiam stopę na klozecie i próbuję wcisnąć w siebie tampon. Wchodzi opornie pomiędzy wysuszone ścianki pochwy. W końcu prostuję się przed lustrem. Chude, białe ramiona, płaskie piersi. Bez specjalnego przekonania sięgam po krem wzbogacony w witaminę B6 i kolagen, a następnie nacieram się całą, szczególną wagę przywiązując do pośladków i brzucha. Kiedy i ta czynność zostaje zakończona, wciągam dzinsy, szary podkoszulek i rozczesuję mokre, żółte włosy drucianą szczotką. Z rezygnacją podnoszę wzrok. Nos, nochal nawet, z głębokimi bruzdami po dwóch stronach i pajęczyną pękniętych naczynek krwionośnych. Czoło niskie, płaskie, poprzecinane równoległymi liniami, świadczącymi o tym, że ich właścicielka często się dziwi. Usta i oczy OK, szyja z pierścieniowatymi bruzdami, zmarszczki na dekolcie. Wklepuję szybko przezroczystą nawilżającą substancję w policzki i otwieram drzwi na korytarz. Źle założony tampon uwiera mnie boleśnie w kroczu, ale to uczucie sprawia mi przyjemność, przypomina, jak bardzo powinienam być wdzięczna losowi za to, że krwawię w tym miesiącu. Parę tygodni wcześniej myślałam poważnie o drugim dziecku. Siadam przy stole, krusząc w rękach kromkę chleba, i zastanawiałam się, jak długo jeszcze uda mi się balansować na krawędzi kryzysu.

O trzeciej w nocy nadal nie mogę zmrużyć oka. Leżę nieruchomo, wpatrzona w ciemność, bojąc się poruszyć, żeby go nie obudzić. Liczę owce, próbuję odtworzyć z pamięci wiersz Czechowicza o miasteczku w górach, podkładam poduszkę pod spuchnięte stopy. Nic z tego. W końcu wciągam sweter i wychodzę z sypialni. Ciemno, ale i tak widać, że pokój został urządzony w sposób raczej przypadkowy, bez specjalnych starań i koncepcji. Po lewej stronie od wejścia komoda i lustro, które dostałam od rodziców wiele lat temu. Porysowany drewniany stół przywieziony ze Stanów, trzy krzesła. Na ścianach dzieła BeZet i czarno-biały sztych wuja J. Zimna podłoga przyjemnie chłodzi stopy. Podchodzę do stolika w rogu i siadam w wiklinowym fotelu, który ktoś kiedyś oddał nam powodowany dobroczyнным odruchem. Podciągam kolana pod brodę. Na dworze pada deszcz ze śniegiem, płatki rysują się wyraźnie w świetle latarni. Przez okno wpada zimny powiew, niosąc ze sobą zapach mokrego betonu i ziemi. Płaczę, płaczę z żalu nad sobą, z żalu nad tym, że mam takie brzydkie mieszkanie, nie mam gustu, nie mam inwencji. Chciałabym być kimś, rozpaczliwie...

„Nie śpisz?” Szymon staje w drzwiach. Przyglądam mu się uważnie, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Dość wysoki, ale bez przesady, przystojny, o ciekawej twarzy, na której rysuje się wyraźnie dziedzictwo, jakie zostawili mu dalecy tatarscy przodkowie: lekko skośne oczy, gęste ciemne brwi, jak narysowane węglem. Szerokie ramiona, proste plecy, zgrabne pośladki. Męski, tak chyba należałoby go określić. „Co się stało? – pyta ze zmęczeniem w głosie. – Chodź, musisz się trochę przespać, nie można tak siedzieć przez całą noc. Jutro będziesz nieprzytomna”.

Światło zimowego poranka sączy się powoli przez okienne sito, zimnym strumieniem spływa na parapet, skapuje na

podłogę i tworzy na niej bladoniebieską plamę. Wyłączyłam budzik. Falująca, rozedrgana jasność pochłania spokojny, nieruchomy półmrok, wprowadza zamęt, przynosi ból. O czym zapomniałam? Co zaniedbałam? Dlaczego czuję się winna? To nie moja wina. To wszystko nie jest moją winą! Stopy i dłonie, kolana i piersi; zbyt prawdziwa jest obecność ciała, które zmuszam, żeby się zanurzyło w kałuży świtu. W pokoju obok Mania oddycha lekko, na poduszce rozrzucone jasne włosy, ręka swobodnie opada w dół, palce leniwie muskają powierzchnię snu. Zaraz się obudzi. Zamykam drzwi do jej sypialni. Otwieram kolejne szuflady w komodzie. Dobieram starannie każdą część garderoby. Zastanawiam się nad koszulą, zieloną zmieniam na szarą, perełki, kolczyki, puszek z pudrem, przyciemniam rzęsy, robiąc nienaturalne miny przed lustrem. Wkładam buty, kurtkę, wołam psa. Na dworze wiatr porywa foliową torebkę, wydyma ją jak spadochron, który po chwili opada, kołując, na trawnik. Robię zakupy, płacę, reszta, dziękuję, z powrotem. W domu parzę kawę i siadam na krześle przy stole, opieram się o ścianę. Biały prostokąt na drzwiach sypialni. Tam śpi on. Tam on śpi. Może się zaraz obudzi. Może kiedy się obudzi, będzie jak dawniej, może dzisiaj wszystko się odmieni... Mania wstaje pierwsza, co mnie denerwuje. Po co ona tutaj, cała miękka od snów, różowa, niedbale owinięta kocem? Zepsuła wszystko, bo teraz muszę zrobić śniadanie, pokroić chleb, rozsmarować masło na kanapkach, zagotować wodę na herbatę.

„Chcesz mleka?” – pytam. Nalewam mleko do szklanki. Talerz. Okruchy na stole. „Jedz ładnie. Trzymaj się prosto. Co ty robisz? Zmyj po sobie”. Odgradzam się od niej serią ostrych zdań, nakazów, zakazów, upomnień. Niech tylko się do mnie nie odzywa, żebym nie musiała odpowiadać,

żebym nie musiała nic mówić. Drzwi otwierają się powoli. Jest tam, stoi, półnagi. Nie zauważył koszuli, nie spojrzał na mnie nawet.

„Pościel łóżko”.

Wyprawiam Manię do szkoły, drugie śniadanie i całus na do widzenia. Sama zapinam płaszcz, nowy, wełniany, w granatowo-szarą kratę. Też nie zauważył, że kupiłam. Wciągam skórzane rękawiczki i wychodzę do pracy. Staram się podążać starym, znanym szlakiem, pochłaniać godziny jak hausty zimnego powietrza, przezroczyste, neutralne, oczyszczone z emocji i kolorów. Wytrzymuję do południa, wieczorem nie mam siły na zmywanie ani na robienie prania. Siedzę i patrzę w okno. Niebo ciemnoniebieskie, nad domami jasne punkty gwiazd, a wyżej mleczny bulwar, staroświecki taki, smutny. Po szybie spływają zimne krople. Znowu zapadam się w siebie. Tak bardzo się boję. Czy to się kiedyś skończy, czy będę normalna? Czy kiedykolwiek wcześniej byłam normalna i jaka byłam wcześniej? Nie pamiętam.

Na podłodze wiruje kłaczek psiej sierści, przeciąg podrywa go w górę serią gwałtownych podmuchów, bawi się nim przez chwilę, a potem porzuca i pozwala powoli opaść w dół. Na dworze uporczywy szum samochodów, tło wieczoru. Stukają o chodnik kobiece obcasy, podwórko zanoszą się jednostajnym szlochem dziecka, które pewnie upadło i rozbiło sobie kolano. Robi się smutno, niebiesko-szaro i czas rozciąga się w rozmazaną smugę. Przedmioty tracą ostrość, a myśli jasność. Szymon z Manią wychodzą do kina. Zostaję sama. Zbieram w sobie narastającą rozpacz i dzwonię do Gówiena, bo niby do kogo mam się w tej sytuacji odezwać. Krzyczę i płaczę w słuchawkę. Nie rozumiem ani słowa z tego, co do mnie mówi. W końcu

trafia do mnie, że mam iść do lekarza po środki uspokajające. Nie chcę lekarza, nie potrzebuję żadnych proszków, to się zaraz skończy, naprawdę, to minie, tylko wezmę prysznic. Wybiegam z mokrą głową na dwór. Zakładam wełnianą czapkę i zapinam kołnierz pod szyją. Wieje silny wiat. Drzewa skrzypią, lecą w dół drobne, suche gałązki. Przez chwilę idę ulicą, do metra, potem zmieniam zamiar i skręcam na Pole Mokotowskie. Pusto. Tylko na parkingu łysy pan w dresie tłumaczy przez telefon: „Nie będę, kurwa, w garniturze, kurwa, piwa, kurwa, pił”. O, ten przynajmniej ma jakieś zasady, myślę. Nogi grzęzną mi w błocie na rozkopanych alejkach. Liczę ławki. Potem liczę płyty chodnikowe i pęknięcia w asfalcie. Liczę okrążenia wokół stawu, plastikowe butelki po coca-coli, psy, a na końcu śpiące na gałęziach wrony. Postanawiam, że się wezmę w garść. Najlepiej zrobię coś konkretnego, jakiś zdrowy wysiłek jest mi potrzebny, żeby się uspokoić, więc siadam na najbliższej ławce i nie ruszam się z miejsca przez pół godziny. Wracam zziębnięta i bardziej zdenerwowana niż przed wyjściem. W windzie ściągam czapkę i próbuję wygładzić zmierzwione włosy. Sterczą na wszystkie strony, sztywne, nastroszone. Przeglądam się w lustrze. Z wiekiem upodabnam się coraz bardziej do ptaka. Wyglądam jak przerażona wrona. Przed drzwiami zastaję Maćka, zapomniałam, że się umawialiśmy. Czeką od dłuższego czasu. Nie usprawiedliwiam się, nie przepraszam. Może się obrazi i pójdzie. Po co w ogóle mnie odwiedza, nie mam siły na spotkania towarzyskie. Maciek jest jednak nie do zdarcia albo raczej nie do obrażenia. Śmieje się na mój widok i wyjmuje piwo z plastikowej siatki. Drobny, ruchliwy i głośny w sposób trudny do zniesienia. W kręgach naszych wspólnych znajomych jest postacią co najmniej kontrowersyjną.

Po pierwsze ma ambicje, a to już niedobrze, co gorsza nie wstydzi się o nich mówić i żeby tego było mało, realizuje je bezwstydnie i szczerze cieszy się sukcesem. Wpuszczam go do domu, nie mam wyjścia. Wskazuję ręką krzesło. „Maju, ile ja tu nie byłem!” – wrzeszczy Maciek i szarpie mnie za ramiona, co ma być wyrazem czułości. „Siadaj tu! – wali ręką w stół. – Siadaj i dawaj szklanki”. Jezu, czy on musi tak krzyczeć, nie jestem głucha, boli mnie głowa i nie mam tylu papierosów, żeby tak na dzień dobry mnie z nich opalać. Przyglądam się Maćkowi, kiedy zakłada, właściwie zarzuca jedną nogę na drugą, pochyla się przy tym nad podłogą i kuli w ramionach. Stanowi niewielką integralną całość. To się rzadko zdarza. Zazwyczaj ludziom coś odstaje, coś nie pasuje, zawadza albo czegoś im brakuje. Za szerokie biodra, zbyt duża głowa, ręce jakieś nieproporcjonalnie długie lub przykrótkie dla odmiany. Ten tutaj jest idealny. Nie to, żeby był specjalnie urodziwy, wręcz przeciwnie, czy nadzwyczaj skoordynowany w ruchach, ale każda część jego ciała pasuje, jakby zdjęta z tej samej półki z napisem „Maciek: ani ładny, ani brzydki, za to świetnie zrównoważony. Części zamiennych brak”. Ciało sprężyste jak kauczukowa piłeczka. Rusza się gwałtownie, mówi głośno i dużo, śmieje histerycznie. Jest impulsywny i emocjonalny, wręcz egzaltowany, używa całej masy ciężkich, patetycznych słów, przeplatanych wulgaryzmami i wyrażeniami dźwiękonaśladowczymi. Pełen ekspresji, tego nie można mu odmówić. Trudno się dziwić, że znajomi mówią o nim z przekąsem. Skończył filozofię i chociaż wcale nie był znowu taki dobry, napisał doktorat. Bardzo kiepski doktorat. Potem zaczął się bawić w artystę. Mógłby przynajmniej o tym nie opowiadać, a on gadał jak najęty o tych swoich filmach rysunkowych i podtykał je każdemu pod nos. Kiepskie te

filmy, żenada taka, szkoda gadać. Wygrał międzynarodowy festiwal? Naprawdę? No, widocznie jak się człowiek uprze... „To dawaj, mała, obejrzymy ten twój tablet!” Prawda, zaprosiłam go, żeby nauczył mnie obsługiwać tablet i programy do grafiki komputerowej. Rękawem bluzy ścieram kurz z biurka, odkładam na bok stertę papierów zapisanych nierównym, drobnym pismem, jego pismem. Maciek siada na krześle, podłącza kabelki do komputera, kiwa się przy tym niebezpiecznie na dwóch nogach krzesła, stale balansując na granicy upadku. Próbuję się skupić na przyciskach i guzikach, na menu, *Edit, View, Image...* Nic nie rozumiem, nic mnie to teraz nie obchodzi, nie mam siły tego słuchać. Patrzę w podłogę i łzy lecą mi po twarzy, nie potrafię się opanować. „Maja, na Boga, ty stara kurwo, co się dzieje?” Przy Maćku nie trzeba się wstydzić, on zrozumie i nikomu nie powtórzy. Nigdy nie słyszałam, żeby o kimś plotkował. Ale i tak się wstydzę. Siadam na kanapie i mówię ze złością: „Idź już, proszę”.

Następnego dnia zapisuję się do lekarza. Może Gówien ma rację, może tak będzie lepiej. Realizuję receptę. Otwieram tekturowe pudełko. „Afobam to lek będący pochodną benzodiazepiny. Leki z tej grupy mają działanie nasenne, przeciwlękowe, przeciwdrgawkowe i uspokajające. Są stosowane w leczeniu bezsenności, w leczeniu zaburzeń lękowych (napady lękowe, lęki uogólnione), również w napadach padaczkowych. Leków z grupy benzodiazepin nie należy stosować dłużej niż cztery tygodnie z uwagi na ryzyko uzależnienia psychicznego i fizycznego. Do najistotniejszych działań niepożądanych, pomijając ryzyko uzależnienia, należą efekt z odbicia i depresja układu oddechowego. Układ GABA jest jednym z głównych układów hamujących w ludzkim mózgu, pod jego wpływem znajduje się między

innymi ośrodek odpowiedzialny za automatyzm ruchów oddechowych. Nadmierne hamowanie tego ośrodka grozi bezdechem”. Zafunduję sobie mały bezdech.

ZASADY

Ósmy marca. Idziemy na Manifę. Pod Pałacem Kultury niewielki tłumek, właściwie sami znajomi albo znajomi znajomych. Spotykam SP i natychmiast aranżuję czułą scenę. Padamy sobie w objęcia i wyznajemy miłość, na tyle głośno, żeby wszyscy na pewno nas słyszeli. Zerkam przez ramię, czy on na mnie patrzy, może chociaż o pedała będzie zazdrosny, zawsze coś... SP przy okazji też wykorzystuje mnie do swoich drobnych intryzek, bo takiej eksplozji uczuć naprawdę się po nim nie spodziewałam, zwłaszcza że od dwóch miesięcy nie odbiera ode mnie telefonów. SP to nie żaden szyfr, żadna próba ukrycia tożsamości. Tak się na niego mówi, SP i tyle. Kiedyś się przyjaźniliśmy, byliśmy blisko bardzo i miałam nadzieję, że tak już zostanie, że łączyć nas będą latami bezpieczne emocje i rozmowy o mężczyznach, ale jakoś się nie udało. Coś się popsuło, nie wiem kiedy i dlaczego.

Przemarsz pod Sejm. Ciągniemy z tyłu, bo parę osób przyszło z dziećmi. Wózki i zabawki, ryczące bachory, zamieszanie. Spod Sejmu ruszamy na obiad do Zapiecka. Spędzamy miłe, leniwe przedpołudnie jak za dawnych czasów. Nikt się nigdzie nie spieszy, herbata, piwo jedno, piwo drugie. Dzieci systematycznie demolują lokal. Przyglądam się znajomym, moim przyjaciołom sprzed wyjazdu do Stanów. Wielu ich nie zostało, a i z tymi resztkami tutaj właściwie nic mnie nie łączy. Lubię ich. Są dowcipni, inteligentni i do

przesady przejęci sobą. Zazdroszczę im poczucia humoru, zmysłu obserwacji, trafności porównań. Śmieję się z ich żartów, potakuję i czuję się bardzo nie na miejscu. Ja nie należę do tego kółka, wiem o tym. Za dużo we mnie emocji, za mało dystansu. Boli mnie to, zwłaszcza teraz, kiedy potrzebuję, kiedy chcę. Wolałabym trzymać głowę wysoko, tymczasem podlizuję się nieprzyzwoicie, uprawiam prostytucję, proszę o ciepły wytrysk w moje zmysłowe usta. Będzie wam ze mną miło, taka fajna jestem przecież.

Warszawa składa się z ksenofobicznych towarzystw, mniejszych lub większych kółek wzajemnej adoracji. Każde z tych kółek jest głęboko przekonane o tym, że to ono właśnie stanowi warszawkę, jeśli nie jedyną, to przynajmniej najlepszą. W tym mieście, nietwórczym, zgryźliwym i kwaśnym, nie rozmawia się o uczuciach, nie przekracza chłodnych granic, nie wychodzi poza twarde, nieelastyczne formy. Można być wulgarnym, ale nie egzaltowanym, można być wylewnym, ale tylko po pijaku, można, a właściwie wręcz należy cierpieć, ale wyłącznie z powodów natury czysto egzystencjalnej. Zaciekle i z niesmakiem plotkuje się o ludziach prostolinijnych, otwartych, grzeszących zbytnią szczerością; należy ich upokorzyć, uświadomić im własną śmieszność. Wielkoduszność i empatia wyszły z mody. Zamiast tego kultywuje się pogardę i odrazę wobec każdego, kto się nie mieści w ściśle wyznaczonych ramach warszawskiego *savoir-vivre'u*.

Najlepszą obroną przed samą sobą jest wzgarda dla innych. Więc bronię się, bronię rozpaczliwie, bo znalazłam się poza nawiasem. Nie mogę plotkować, bo to o mnie się plotkuje, wzdycha na mój widok i przechodzi na drugą stronę ulicy. Uświadomiono mi dobitnie, przekazano przez osoby trzecie, że moje zachowanie jest nieodpowiednie, męczące,

co najmniej przykre. Nie mogę rozgryźć, nie potrafię pojąć tego, co kiedyś wydawało się takie proste. Jak się zachowywać, co robić, żeby nie drażnić wszystkich naokoło? Nie rozumiem tamtych reguł, nie umiem według nich postępować. Czy to początki alzheimera? Patrzę w okno. Za szybą wiatr pędzi ulicą starą gazetę, pod sklepem naprzeciwko zbierają się lokalsi na pięćdziesiątkę czegoś mocniejszego. Chciałabym się rozpłakać, krzyczeć, uderzyć czołem w błąd, ale w porę przypominam sobie, że wszystko jest dozwolone, dopóki jest przyjemnie, i zadowolam się płaceniem rachunku, a potem ściskam im po kolei ręce na do widzenia.

GLINIANY DOM

Nic nie robię od miesiąca. Chuj, nieważne. Ewidentnie nie radzę sobie ze sprawą. Boli, tak bardzo boli, i czuję się z tym całkowicie samotna. Komputer stanowi zagrożenie, staram się go nie dotykać, na wszelki wypadek. W internecie sprawdzam tylko wiadomości. Takie mam postanowienia nienoworoczne. Wieczór zaczyna się wcześniej i powoli osiada na blokach, bladozłoty bezruch. Miasto oddycha głęboko, spokojnie. Odpoczywa. I tylko latarnie wyciągają nerwowo szyje nad ulicami. Zapalam lampę nad biurkiem, parzę herbatę, liczę papierosy w pudełku, dziesięć, nie powinnam już dzisiaj palić, myślę, i pstrykam zapalniczką. Szymon siedzi obok, czyta gazetę. Patrzę, jak wyciąga przed siebie nogi, napina krótkie, szerokie stopy, porusza palcami. Też powinnam poczytać, ale mi się nie chce, i tylko czekam, ciągle czekam i chcę czegoś, ale nie umiem tego nazwać ani wskazać... Zjem kolację, to chyba pomaga. Umyję podłogę, potem umyję siebie. Budujące za-

jęcia, efekty widać od razu. Się pozbieram, wezmę w kupę. Coś popsuło mi się w środku, potrzebuję trochę czasu, żeby to zreperować. Wypijam piwo na dobranoc. Kładę się spać. Łóżko zimne, wrogie, trzeba je oswoić. Trzeba oswoić świat od nowa.

Budzi mnie światłowstręt i ból głowy przed szóstą rano. Kac po jednym piwie. Rozwolnienie. Kręgosłup. Jak zwykle moja własna fizjologia obraca się przeciwko mnie. Od kąd schudłam, ciągle się dziwię, że takie małe ciało może dostarczyć tyle przykrości. W ogóle nie umiem panować nad własnymi uczuciami. Jest ich po prostu zbyt dużo. Wyciekają na zewnątrz, nawet kiedy staram się uszczelniać, zatykać i korkować. Parę razy dziennie mam napady paniki tak silne, że drętwieją mi palce u rąk, wargi i język. Trudno mi się wtedy utrzymać na nogach. W nocy budzę się, jęcząc i narzekając. Jego też budzę. Wstyd.

Jestem zła, zła, zła! Wypierdalaj z mojego życia, ty smutny skurwielu. Już nigdy, nigdy, nigdy nie będzie tak jak kiedyś, a ja inaczej nie chcę. Więc spierdalaj! Boże, jak ja w ogóle mogę tak myśleć? Biedny on. Czy to, co piszę, nie jest przypadkiem wewnętrznie sprzeczne? Coś się stało, coś, czego nie potrafię zrozumieć. Nie potrafię sobie z tym poradzić.

Muszę wstać, znowu. Muszę obudzić Manię, wypić kawę. Muszę iść do pracy. Rozpaczam dzień od tych samych co zawsze czynności. Powtarzające się jak w męczącym śnie obrazy, łazienka, klatka schodowa, chodnik. Pole Mokotowskie szare, obojętne. Pusta sadzawka, rozbite szkło na ścieżce. Wysokie, zimne niebo, które nie przynosi ulgi. Nie nadążam za tym, co widzę, wyglądając na zewnątrz przez oczy. Nie nadążam za ciałem. Wyszłam i skurczyłam się, odstaję od ścianek opakowania, objam

się, grzechoczę w środku. Wrony na nagich gałęziach siedzą nastroszone jak nuty na pięciolinii. Po Żwirki i Wigury mknie karetka, korek rozjeżdża się w dwie strony, robi przejście. Idę po pasach na zielonym świetle i dalej koło szpitala na Banacha, przez parking, za izbę przyjęć, aż do szarych prętów ogrodzenia, do bramy i szerokich, kamiennych schodów. Czekam, aż portier naciśnie guzik i wpuszcza mnie do wyłożonego lastriko hallu, gdzie w plastikowych doniczkach rosną paprotki i fikusy, a pod ścianą stoi wyłożona skajem kanapa. Pcham ciężkie przeciwpożarowe drzwi, po przeciwpożarowych schodach wchodzę na drugie piętro. Ciągle mam nadzieję, że coś się odmieni, że powróci na miejsce to coś, czymkolwiek jest to, co się poruszyło, przesunęło i uwiera mnie w środku kanciastą krawędzią. Może dzisiejszy dzień w pracy pomoże? W pożywkarni odmierzam składniki, wsypuję proszek do kolby, wciskam bawełniany korek. Grubym flamastrem podpisuję się na szkle, imię, nazwisko, data. Potem próbuję czytać, ustalić, co właściwie mam zamiar robić do czwartej, ale chce mi się spać i denerwuje mnie bzyczenie jarzeniówek nad głową, męczy otwarte okno, zapach chloru i białe fartuchy. Duża Kasia jak zwykle pełna energii, rozkłada statywy na blacie. Jej jędrne, pełne piersi napinają się pod koszulką. Obok Piotr, jak zwykle w koszuli w paski, jak zwykle w dżinsach z Zary, skórzane buty w szpic, starannie ułożone włosy. Jak zwykle dzień w laboratorium. Czas zazgrzytał, zaciął się i stanął w miejscu. W pokoju socjalnym pod schodami stoi kozetka lekarska. Zasnę, chwilę się zdrzemnę, może nikt nie zauważy, może jak się obudzę, świat ruszy z miejsca...

O piątej jadę do rodziców. Zabieram ze sobą zwierzęta, mam je u nich zostawić, bo Wielkanoc postanowiliśmy spędzić tylko we dwójkę, wyjechać z Warszawy. Na

Ursynowie zima jakby bardziej niż gdzie indziej. Wróble podskakują na pożółkłych trawnikach, biała plama farby olejnej rozlanej na asfaltowej ścieżce i geometria kanciastych kształtów. W domu pusto, jeszcze nie wrócili z pracy. Na końcu długiego korytarza, w ostatnim pokoju – BeZet. Nie usłyszała, że weszłam. Korzystam z jej głuchoty, nie witam się i zamykam w pokoju ojca, gdzie powietrze ma zapach pocztówek i błyszczących stron albumów o sztuce, a krzesło przy biurku kształt jego pleców i twarzy schowanej w dłoniach. Moje myśli są lepkie jak wilgotne kartki. Przylegają do siebie, nie można ich rozdzielić.

WIELKANOC

Wyjeżdżamy na święta z Warszawy. Wsiadamy do pociągu, potem autobus, idziemy dwa kilometry przez las. Nad Wigry docieramy przed dziesiątą. Kładziemy się spać w zimnym eremie. Seks pod stosem koców. Zasypiam szybko ciężkim, pełnym męczących majaków snem. Nie budzę się do świtu. Niedobrze. Nadal nie daję sobie rady z emocjami. W zasadzie nie powinno mnie to dziwić, nigdy sobie z nimi nie radziłam. Może jednak tym razem się uda? Cały czas mam poczucie, że tyle ode mnie zależy. Pewno gdybym była choć trochę mądrzejsza, to wszystko udałoby mi się odczarować. Wciąż szukam sposobów i to jest bardzo męczące. Znowu łkam środek na bezdech, tym razem w dużych dawkach, jak Pan Bóg przykazał. Rano budzi nas przejmujący chłód, tulimy się do siebie, szczękając zębami. Jego urodziny. Prezenty i pocałunki w łóżku. Potem długie, leniwe śniadanie. Staram się, jak mogę, gadam, dowcipkuję, wymyślam coraz to nowe tematy do rozmowy. Po południu

Jedziemy do Sejn i wracamy na obiad. Postanawiam, że zaciśnię zęby, ten dzień będzie miły i tylko dla niego, choćby nie wiem, co się stało. Takie mocne postanowienia zawsze przynoszą pecha. Atmosfera momentalnie gęstnieje. Rozmowa toczy się już wyłącznie na temat związków. Mówimy o znajomych, ja mam na myśli nas. Stosuję skomplikowane i ryzykowne figury retoryczne. Piję. Tracę kontrolę już po trzech kieliszkach. W końcu łkam histerycznie i upokarzam się, dopóki nie zostaję utulona do snu jak małe dziecko.

Następnego dnia po świątecznym śniadaniu (żur i biała kielbasa?!) idziemy na spacer wzdłuż Wigier. Koszmarna pogoda. Wieje i zacina drobny, natarczywy śnieg. Trudno uwierzyć, że to koniec marca. Żadnych zielonych listków na drzewach, żadnych godowych śpiewów ptasich, szaro, ponuro, zima. Mimo to Suwalszczyzna i tak piękna. Włóczymy się przez cztery godziny wśród podmokłych pól. Grzęźniemy w błocie i ślizgamy po przegniłych łąkach. Jest zupełnie pusto, tylko raz spotykamy dwie mokre sarny, które przyglądają się nam zaciekawione. Jakiś czas siedzimy osłonięci drewnianą wiatą i patrzymy na stalowe jezioro otoczone brudną obwódką zeszłorocznych trzcin. Dużo milczymy, każde z nas próbuje się jakoś odnaleźć, osobno, na własną rękę, i tylko szmer opadających zamrażniętych płatków towarzyszy nam całą drogę. Wracamy oddzielnie, jak zawsze, on pierwszy, ja wlokę się z tyłu. Zaczyna padać gęsty, ciężki śnieg, który rozdziela nas grubą zasłoną. Cieszę się, że nie muszę nic mówić. Jestem zmęczona. Nim? Sobą? Powoli trafia do mnie, że tym razem nie mogę zczarować rzeczywistości. Myślałam, że popluję przez lewe ramię, odpukam i wszystko będzie jak dawniej, muszę tylko bardzo chcieć. Tymczasem spokojnie mogę przestać się wysilać. Im bardziej udaję, że jest jak kiedyś,

mnie do pionu, bezceremonialnego, brutalnego tarmoszenia i doprowadzania na siłę do porządku. Gołąb rozpląszczył się w słonecznej plamie, rozłożył ogon na kształt wachlarza, drzemie. Z drugiej strony tylko on jedyny na całym świecie umie sobie poradzić z moimi histeriami. „No, kochana, przestań się w końcu mazać i flaki obracać, wysmarkaj tego swojego wielkiego kinola i zabierz się do roboty, zamiast tak tu czas i energię marnować”. Wózek z niemowlęciem zbyt gwałtownie zeskoczył z krawężnika, dziecko rozkrzyczało się żałośnie. No więc się zbieram. Jadę na basen, wiosna, mamy kwiecień, a potem maj i czerwiec. Luty i marzec zostały za nami. Przypinam rower do stojaka, przebieram się w szatni, bluzka, majtki, stanik, kluczyk od szafki wiąże na przegubie. Pływam w nienaturalnie niebieskiej wodzie, liczę kolejne długości, po wyjściu liczę siniaki na chudych nogach, a w szatni pieniądze w portfelu. Wracam, pedałużę. Zapada zmierzch i ulice szarzeją, powoli gubią kolory. Zatrzymuję się przy Mokpolu. Od pani w niebieskim fartuchu z długimi rękawami kupuję jabłko i jogurt z cynamonem. Jabłko jest czerwone, z małą żółtą plamką koło ogonka. Poleruję je cierpliwie o flanelową koszulę, aż zaczyna błyszczeć, odbijać resztki dnia. Wieczorem włączam komputer i czytam wiadomości na Dziennik.pl, długo i dokładnie. Popijam dzień herbatą. Chuj i pizda w dupie gwizda, będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze...

PAN S.

Nie jest dobrze, lepiej też nie jest, gorzej tylko, albo tak samo, co znaczy, że gorzej. W końcu dociera do mnie, że dzieje się coś bardzo złego. Od dwóch miesięcy nie jestem

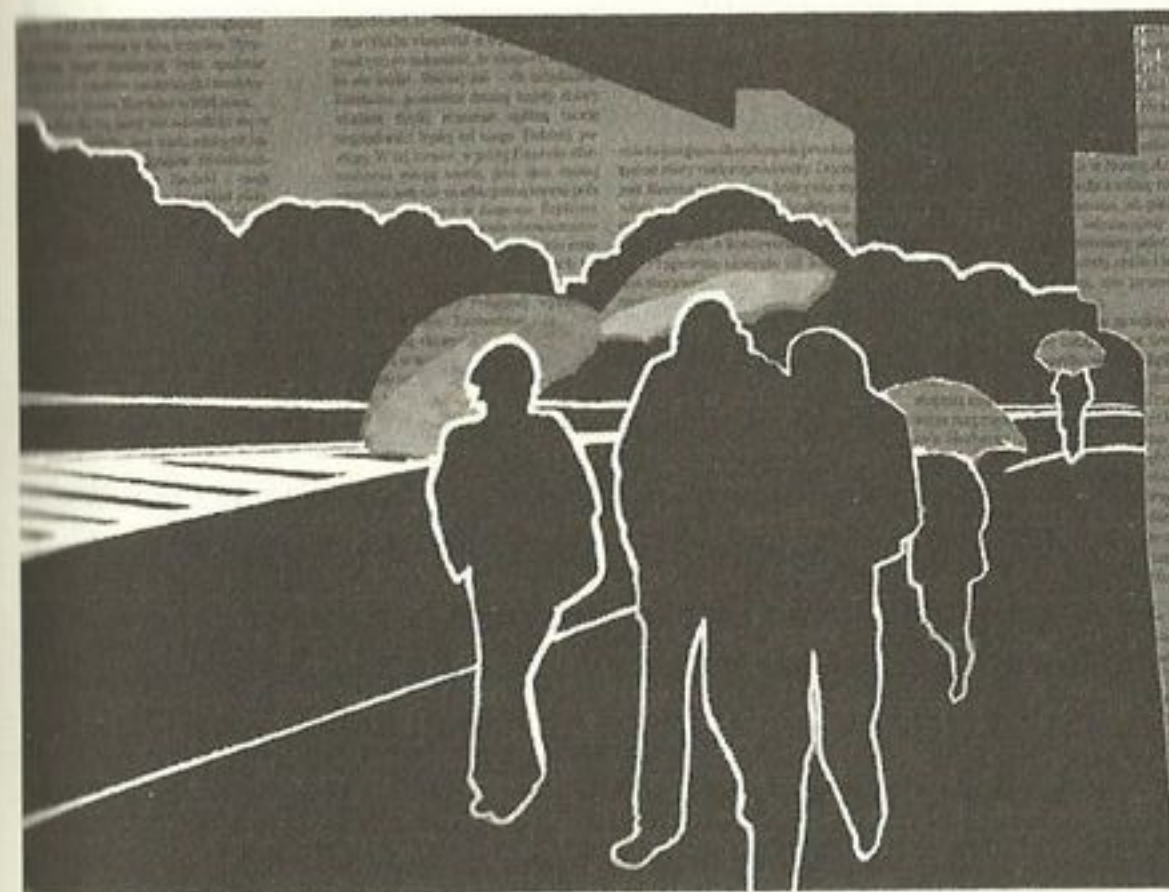
w stanie rozmawiać z Manią i rodzicami. Każdy emocjonalny kontakt jest dla mnie nie do zniesienia. Boję się jeździć metrem, nie wsiadam do jednej windy z innymi ludźmi, w pracy dopadają mnie paraliżujące ataki strachu. Pojebało mnie w mózg. Zapisuję się do psychologa, a potem do psychiatry. Diagnoza brzmi: załamanie nerwowe, początki depresji. Biorę więc leki, białe krążki albo owalne żółte. Czasem różowe i niebieskie, kojące kolory, na sen i na spokój. Dzielnie i regularnie chadzam na kontrole. Pan S. przyjmuje na Wałbrzyskiej, przy bazarze, może kupię po wizycie drożdżówki albo ciemny chleb z ziarenkami. Patrzę na swoje odbicie w szybie piekarni. Na brzuchu mam pączki, na twarzy bułki paryskie i kajzerki. Gorąco, duszno jakoś. Nie mogę się oderwać od tej wystawy, nie mogę dojść. Staram się, ale muszę co chwila siadać i odpoczywać. Niepokoją mnie baby sprzedające pumeks i sznurowadła do butów na polowych łózkach rozstawionych wzdłuż krawężnika. Niepokoją wieszaki z powiewającymi czerwonymi sweterkami, zielone legginsy z lycry. Chyba nie dam rady. Budka z warzywami, świecą się łysiny kabaczków i bakłażanów, imbir pokurczony jak wyschnięte niemowlęce ciało. Muszę. Stare książki w tekturowych pudłach, obok łańcuchów do rowerów, różowych majtek i świec mszalnych z Matką Boską naklejoną na wosku. Nie mam siły, nie mogę. Tylko sobie wmawiam, nic mi nie jest. Kapusta czerwona, bordowa raczej, z białymi żyłkami pulsującymi pod liśćmi, wędzone śledzie i makrele, pomarańczowy łosoś. Słabo mi, chyba zemdleję. No wstawaj, wystarczy wziąć się w garść, no dalej! Światła, pasy, tłum przechodniów. Zaraz, za chwilę, odpocznę trochę, jestem zmęczona. Czym niby? Trzęsę się cała, pocę, niech mi ktoś pomoże. Kto niby, nie rób przedstawienia, ruszaj się!

Spóźniam się. Pan S. otwiera i patrzy na mnie zaniepokojony. „Niech pani dzwoni następnym razem, pani Maju, jakby się coś takiego zdarzyło”. Wiem, że się martwi, szczerze przejmuję, jestem mu za to wdzięczna, ale mi się to ciągle zdarza, mam dzwonić trzy razy dziennie?

Zaciągnięte zasłony, gabinet jak zawsze tonie w cieniu. Skórzana kanapa, ciężkie dębowe biurko. On na fotelu po jednej stronie, ja na krześle, po drugiej. Podciągam kolana pod brodę. Płaczę. Pan S. dzielnie znosi moje łzy. Nigdy nie przerywa, nie zadaje pytań, czeka cierpliwie, aż skończę, wysmarkam nos w jednorazowe chusteczki, pudełko stoi pod ręką.

„Dlaczego tak jest?” – pytam. „Już o tym rozmawialiśmy, pani Maju”. Wzdycha, przeciera ręką czoło. Lubię jego szeroką, spokojną twarz, dużą ogoloną głowę, miękkie, opadające policzki i gruby kark. Jest ciężki, zwalisty, solidny, budzi zaufanie. Małe oczka, szparki takie, uśmiecha się przez nie, wiem, że się uśmiecha, chociaż usta mu nie drgną. Pozostają poważne. „Pani nie chce przyjąć do wiadomości tego, co się stało”. „Ale przecież nic się takiego nie zdarzyło”. Nie patrzę na niego na wszelki wypadek. Uciekam wzrokiem na ścianę, studiuję obrazki. Jakiś sztych, nie za dobry, wieża Babel, albo nie, to chyba Koloseum raczej. „Jak to nie? Pani Maju, jeżeli pani chce dalej udawać, to nic na to nie poradzę. Ale samą determinacją i siłą woli nic pani nie zmieni. Pani myśli, że można po prostu zapomnieć i wrócić do tego, co było. Tamten świat, tamta rzeczywistość, już nie istnieje. Nie ma do niej powrotu”. O Boże, co on mówi, to gdzie ja mam iść? Co się ze mną stanie, ja nie chcę inaczej.

To jest jak przebudzenie z koszmaru. Jak powolne wracanie do rzeczywistości po jeździe kwasowej albo grzybach. Z płataniny niezrozumiałych kolorów i kształ-



tów powoli zaczyna się wyłaniać rzeczywistość. Ten sam pokój, te same ściany, znajome przedmioty. Znowu jestem sobą. Psychiatra kiwa głową i prosi, żebym się nie łudziła. Nazywa mój stan „efektem miodowego miesiąca”. Często się zdarza na początku leczenia, kiedy pacjent dowiaduje się, że jest chory, i zdejmuje z siebie część ciężącej na nim odpowiedzialności. Mój miodowy miesiąc trwa cztery dni i daje mi nadzieję na przyszłość.

KONIEC TYGODNIA

Pan S. miał rację. Miodowy miesiąc dawno minął. Jestem zmęczona, zapominam zrobić zakupy, zapominam, że się umówiłam z Joanną. W ostatniej chwili dzwonię i odwołuję spotkanie. Z trudem wracam do domu, liczę płyty chodnikowe, pięćset sześćdziesiąt siedem całych i parę połamanych. Otwieram drzwi do klatki, naciskam guzik windy, czekam bez efektu. Droga na dziewiąte piętro, kiedy nie działa winda, jest długa i męcząca. Muszę się zatrzymywać co jakiś czas, łapać oddech, kręgosłup daje mi się we znaki, ból od krzyża rozlewa tępo w dół ciała i promieniuje aż do kolan. Przysiadam na schodach, podest za podestem taki sam, lastryko, żółte lamperie i drzwi zamalowane farbą olejną w sraczkowatym kolorze. Na każdym piętrze cztery lokale, dwie kawalerki, zamieszkałe głównie przez rozwódki i wdowy w podeszłym wieku, i dwa trzypokojowe mieszkania o identycznym rozkładzie. Cały blok stanowi minispołeczność połączoną skomplikowaną siecią znajomości, przyjaźni, antypatii, intryg i plotek. Większość mieszkańców wprowadziła się niedługo po tym, jak wybudowano osiedle, w latach sześćdziesiątych, naj-

później siedemdziesiątych, co w warunkach warszawskiej stałej migracji stanowi swego rodzaju ewenement. Kiedy przeprowadziliśmy się do mieszkania po babci, traktowano nas podejrzliwie, wręcz wrogo. Na nieszczęście byliśmy młodzi, zbyt młodzi, z małym dzieckiem, które płakało po nocach, a do tego dochodzili liczni wówczas nie do końca trzeźwi znajomi, którzy nawiedzali nas w wieczornych porach, „kiedy przyzwoici ludzie kładą się spać”. Jednak główną przyczyną niechętnego stosunku sąsiadów nie były hałasy, jakie zdarzało się nam robić po nocach, ale fakt, że byliśmy obcy, że byliśmy intruzami z zewnątrz, którzy swoim wtargnięciem zaburzali dawno ustaloną równowagę i rytm, zgodnie z którym funkcjonował ten maleńki światek babć i dziadków. Osiem lat trwało, zanim zostaliśmy zaakceptowani jako pełnowartościowi członkowie wspólnoty. Jako „swoi” mogliśmy hałasować do woli (młodzi, niech się bawią, póki jeszcze mogą). Zostaliśmy wtajemniczeni w zawiłości wewnętrzne klatki schodowej i oczekiwano od nas zaangażowania w życie sąsiedzkie, co miało polegać głównie na zbieraniu i przekazywaniu plotek.

Zatrzymuję się na drugim piętrze, gdzie mieszka pan Radosny z rodziną, dwiema córkami dobiegającymi pięćdziesiątki i dwoma wnukami, co do których nigdy nie udało mi się ustalić, czyimi właściwie są synami (tej chudszej i wysokiej czy krępej i niskiej), i dwoma obrzydliwymi kundlami Maurycym i Kajtusiem. Pan Radosny nie jest wcale radosny, często się denerwuje i należy go omijać szerokim łukiem, podobnie jak jego psy, jeśli nie chce się narażać na złośliwe uwagi i bolesne ukąszenia w okolicach łydek. „Co WY robicie z tą windą?” – pyta, mijając mnie na schodach. Po czym nie czekając na odpowiedź, człapie dalej, opierając się ciężko na lasce i z wysiłkiem rozdając

się nie zmarnowało”. „Jak można jeść coś podobnego, nie rozumiem cię!” „Toteż ty tego nie jesz, tylko ja”. „Ale sprawa mi przykrość, jak patrzę na to, co jesz” „To nie patrz”.

Nie wtrącam się, nie denerwuję. To rytualna kłótnia, całkowicie bezpieczna, nikt tu nie ma do nikogo pretensji, trzeba ją po prostu odbyć, jak co tydzień, dla zachowania równowagi sił w domu. W czasie deseru niespodziewanie dzwoni on. Podrywam się od stołu, zostawiając niedojedzone lody. Rodzice patrzą na mnie z pretensją, trudno. Szymon chce się umówić na piwo w Amatorskiej. Cieszę się jak mała dziewczynka. Zakładam buty, całuję policzki na do widzenia, biegnę do metra. Na Nowym Świecie gęsto. Tłum kolorowej, uwolnionej z końcem matur młodzieży. Rewia wszelakiego rodzaju negliży. Głębokie dekolty, krągłe piersi, płaskie brzuchy, nogi do szyi i odsłonięte męskie ramiona. Zapach wódki, tanich perfum i nastoletniego pożądania. Udziela mi się ta gorączka i czuję pod włosami leciutkie, radosne drgania, drobne falki ekscytacji. Dusznno. Zatrzymujemy się gwałtownie piętnaście metrów od kawiarni. Nie mogę oddychać, słabnę, kręci mi się w głowie. Wiem, że powinnam się jakoś wytłumaczyć, uspokoić go, ale nie potrafię wykrztusić słowa, po czole spływa mi strużka potu. On zachowuje się bez zarzutu i natychmiast zabiera mnie stamtąd, wyrzywa z tłumu. Skręcamy w Chmielną, ja milczę, on nerwowo szuka kolejnych tematów do rozmowy. Niezdarnie próbuje ratować sytuację. Jest mu przykro, wiem o tym. Ma bladą, ściągniętą twarz i oczy robią mu się jeszcze bardziej skośne niż zwykle. Na skroni nabrzmiwa mu całe dorzecze błękitnych żyłek. Postanawiam, że dziś wieczorem zagram w jego grę i uprzejmie konwersuję. Tymczasem żołądek zwija mi się w bolesny węzeł. Jedziemy do Planu B, potem do Iluzjonu. On kupuje kolejne piwa,

gada, stara się, jak może. Musi być mu strasznie ciężko, a ja nie umiem nic poradzić, nic pomóc... W końcu coś pęka, przełamuje się między nami. Cała sytuacja nieoczekiwanie mnie wzrusza i po raz pierwszy napełnia głębokim poczuciem pewności. O drugiej wracamy do domu, mocno przytuleni, pijani i spokojni.

GORĄCZKA

Było już tak dobrze i znowu coś się zepsuło, ja coś zepsułam, ale nie wiem, kiedy i co właściwie robiłam nie tak jak trzeba. Rozmowa. Straszna rozmowa. On siedzi przy komputerze odwrócony do mnie plecami. Uderza palcami w klawiaturę, w końcu odwraca się gwałtownie. W jego twarzy tylko gniew, twarda złość pod warstwą miękkiej skóry. Nie rozumiem nic z tego, co do mnie mówi. Jestem za to gotowa zgodzić się na wszystko, na to, że myślę tylko o sobie, że to, co robię, to spektakularny popis, przedstawienie mające na celu manipulowanie otoczeniem. Myśli uciekają mi w tył głowy, jego słowa uderzają we mnie i spadają, grzechocząc, na podłogę. To jest stół, to łóżko, to twoje ręce, a to twoja twarz, błyszczące oczy i wąskie usta rozchylone w brzydkim grymasie. Mówi okropne rzeczy, wszystko zniszczyłam, nic się nie da odbudować, nie wiedział wcześniej, kim jestem, teraz już wie – potworem. Ostre, chropowate dźwięki, pozbawione życia kawałki drewna. Boli jak cios w klatkę piersiową, który zapiera dech i odbiera możliwość mówienia. Siadam na ziemi, tuż obok jego stóp, bezwładna, bezmyślna szmaciana lalka. Przyrzekam, że się uspokoję, opanuję, powrócę do normalności, ale wiem, że już to przyrzekałam w zeszłym tygodniu

i jeszcze tydzień wcześniej, i w poprzednim miesiącu też. Podejmuję gigantyczne wysiłki, heroiczne próby samokontroli i z każdym dniem jest tylko gorzej i gorzej. Dlaczego on tego nie widzi, dlaczego nie przyjmuje do wiadomości, że się staram? W kącie za biurkiem zebrał się brud, stara guma do żucia przyklejona do podłogi. Nie zostało mi wiele wspomnień z tego, co ostatnio robiłam, jak właściwie się zachowywałam, zdarzenia rozmazały się w pamięci, jakby ktoś nagrał je na taśmie filmowej i puścił w przyspieszonym tempie. Jeden wielki chaos, rozpędzona, wirująca karuzela. Skąd mam wiedzieć, co właściwie robię źle. Tępo pytam, co mam zmienić, jak się zachowywać? Mówi, że już nie mi więcej nie wytłumaczy, że nie będzie ze mną w ogóle rozmawiał. Dlaczego? Dlaczego? Powtarzam w kółko. Na szybie biedronka i muszka owocówka. Parapet upstrzony żółtymi plamkami. Wstaję, zakładam buty i wychodzę z mieszkania.

Następnego dnia budzę się rozpalona. Mam gorączkę przez cztery dni. Znowu schudłam kilogram, już nie wiem, co mam ze sobą robić. W czwartek wizyta u psychiatry. Źle, głęboka depresja, mogę przestać myśleć o braniu się w garść. Mam sobie to wybić z głowy. Patrząc, jak Pan S. wypisuje receptę, jak odkłada wieczne pióro, przystawia pieczątki. W oknach żaluzje, przez które prześwieca słońce, kładzie jasne paski na plecach i ogolonej głowie lekarza. Ale jak niby, co pan opowiada? Jeżeli się nie pozbieram, to rozpadnie mi się życie, rozleci w drobny mak. Pan S. proponuje mi wyjazd do „ośrodka” na dwa-trzy miesiące. Czy on oszalał? „Ośrodek”, czyli szpital dla świrów na wolnym powietrzu. Nie, naprawdę nie mam na to czasu. Składam receptę, płacę, wychodzę. Na dworze jasno, ciemnoniebieskie krążki opadają w polu widzenia jednostajnym

wirującym ruchem, nikną i znowu pojawiają się na górze, żeby spływać w dół. W głębi, za krążkami, wybetonowane podwórko i dwa labradory na smyczy, podjeżdża punto, parkuje od strony trzepaka. Nie pójdę dziś do pracy. Krążki wirują wokół mnie. Idę. Na bazarze kupuję sernik. Ściskam pod pachą miękką paczuszkę zawiniętą w papier śniadaniowy. Udaje mi się dotrzeć do metra, wysiąść, policzyć płyty chodnikowe i piętra w czasie jazdy windą na górę. W domu łykam cital i xanax, kładę się do łóżka z książką i herbatą i zastanawiam nad metodami przecinania skóry. Po ścianie suną krążki, zawsze w dół, nieprzerwanie, monotonnie, uparcie. Mam niezdrową ochotę zrobić sobie krzywdę jakimś ostrym narzędziem. Zasypiam.

Opinia publiczna zezwala na szaleństwo, przychylnie odnosi się do depresji i z życzliwym zainteresowaniem obserwuje skutki załamania nerwowego. Okazuje się jednak, że należy spełnić odpowiednie warunki, żeby uzyskać wizę, pozwolenie na odjazd. Zasady są proste: załamanie „bez powodu” – bardzo pięknie, wyjątkowo ciekawie, świadczy o dużej wrażliwości, a nawet godnej pochwały wrodzonej kruchości konstrukcji psychicznej. Załamanie z powodu bardzo ciężkich przeżyć, jak śmierć bliskiej osoby, rozwód, nieuleczalna choroba – świat kiwa ze zrozumieniem głową, byle nie za długo, pół roku, no, rok może. Natomiast żeby załamać się z powodu błahego, mało istotnego, o, to już nieładnie, to wstyd przecież. Ja, jak na złość, należę do tej trzeciej kategorii. Nic wielkiego mi się nie przydarzyło, małe życiowe potknięcie, a leżę jak długa i kwiczę, podczas gdy wszyscy znajomi odwracają się ode mnie ze wstrętem. Na dodatek jeszcze dochodzi do tego sprawa uzależnienia od mężczyzny. Ja się naprawdę wstydzę, ja bym nie chciała być uzależniona, ja, kurwa, marzę o tym, żeby nie mieć

nasrane w głowie. A mam. Cofnęłam się w rozwoju do fazy małego dziecka. Wieszam się na mężu jak na ojcu albo na matce nawet. Rozkręciłam jakiś stary mechanizm. Zadziałał wcześniej uśpiony motor dziecięcych strachów i hysterii, całkowicie mnie zdominował.

Siedzę w domu. Mieszkanie działa mi na nerwy, męczy, uwiera boleśnie. Znam je aż za dobrze i nie zaskakuje mnie najmniejsza szparka w podłodze ani smuga na ścianie. Pajęczyny odrastają zawsze w tych samych miejscach, drobinki kurzu układają się w identyczne wzory na powierzchni mebli. W środkowej szufladzie komody brakuje rączki, kosz na bieliznę zije wygryzioną przez psa dziurę. Nadal jestem w pełnym proszku. Jeżeli nie biorę leków uspokajających, dostaję ataków paniki i muszę dzwonić do Emilki albo Gówiena, żeby się doprowadzić do porządku. Pod biurkiem kłaczki kurzu, które podrywa podmuch wiatru. Okno otwarte szeroko, za nim na drutach wysokiego napięcia siedzą wrony, tworząc regularny wzór na tle jasnego nieba. Chciałabym z nim porozmawiać, chciałabym, żeby uwierzył, że cały świat usunął mi się nagle spod nóg i chociaż dałam z siebie wszystko, co mogłam, i tak nie potrafiłam zapanować nad sobą. Nigdy w życiu nie wykonałam takiego wysiłku, tymczasem stoję przed ścianą w poczuciu klęski. Jak mogę wytłumaczyć drugiej osobie coś, co jest dla mnie samej niezrozumiałe? Zlew pełen niepozmywanych naczyń, abażur z papieru kołysz się lekko, nieżywe ćmy przesypują się cicho z prawej strony na lewą i z powrotem. Czasem któraś wypada poza krawędź lampy i bezszelestnie sfruwa, wirując, na podłogę; tłusta, martwa ćma. Chciałabym mówić, chciałabym wytłumaczyć, objąć go i szeptać: nie jestem na ciebie zła, rozumiem cię i wiem, że ci trudno. Kiedy myślę o tobie i wyobrażam sobie, przez co przecho-

dzisz, chciałabym cię całować i kochać za to wszystko, ale jestem zbyt słaba. Coś pękło mi w środku, choć nie ma ku temu, obiektywnie rzecz biorąc, wystarczająco poważnych powodów. Ale pękło i jestem z tym sama.

Wstaję, gotuję wodę na herbatę, poprawiam włosy przed lustrem, przeciągam palcem po blacie stołu, zostawiając na nim grubą, ciemniejszą kreskę. Od dwóch dni bezskutecznie staram się uniezależnić od xanaksu, to dlatego popadam w te katatoniczne, bezmyślne stany. Pustka rośnie mi w głowie, rozsadza ją od środka. Lepiej się poddam, dam za wygraną. Biorę pół pastylki i kładę się z książką do łóżka. Przerzucam kartki, przyglądam się czarnym literkom tworzącym rytmy na białych stronach, myślę o naszej rozmowie sprzed dwóch tygodni, o tym, co on powiedział, kiedy patrzył na mnie tym zimnym i twardym wzrokiem, który przecinał mnie w pół. Nie potrafię odtworzyć ani jednego zdania, wiem tylko, że było to coś strasznego, coś strasznego o mnie, o tym, jaka jestem. Wyszłam potem na dwór, zbiegłam w dół po schodach i dzień wydawał mi się taki szary, powietrze gęste, izolujące jak wata. W uszach dudnił bęben. Pamiętam tylko tamten dźwięk, głuche uderzenia krwi. Więc jaka tak naprawdę jestem w jego oczach, w swoich oczach, w oczach Mani, Gówiena? Czy jestem w ogóle jakaś? Czy to, co powiedział, jest prawdą? Czy istnieje jakaś prawda, a jeśli tak, to ile ich jest? A może istnieją tylko punkty widzenia i jeśli je dodam i uśrednię, to znajdę odpowiedź na moje pytania?

Dobrze by było coś zrobić, spotkać się z kimś, porozmawiać, zamiast tak leżeć bez sensu i próbować odgadnąć, jaką losową metodę zastosował autor, wpisując dwadzieścia cztery litery alfabetu do książki i powtarzając układy słów, zdań i przerw między akapitami. Biorę do ręki telefon.

Dzwonię. Godzinę później wciągam wąskie białe spodnie, zapinam koszulę, pudruję nos i pstrykam pod pachami dezodorantem. Umówiłam się z SP w kawiarni pod Kakusami. Nudno. SP siedzi naprzeciwko, drobnymi łykami popija kawę. Duża głowa, trochę nieproporcjonalna, trochę za wąskie ramiona, ale uśmiech ma taki uroczy i oczy takie wesołe. Milczymy. Patrzymy na ludzi płynących Chmielnią, na tłum, który zbiera się powoli przed wejściem do Atlantiku. Punkowcy na ławkach wydobywają dowody osobiste, para ze straży miejskiej studiuje je w skupieniu. On kawę, ja piwo, żadne z nas nie próbuje ratować sytuacji. Kończymy przełykać płyny i rozstajemy się z ulgą. Na odchodnym SP informuje mnie uprzejmie, że wyglądam, jakbym miała anoreksję. Zaraz potem, jeszcze zanim zdążę zejść do metra, dzwoni mama i pyta, czy jem i czy chodzę do psychologa, i Gówień wysyła SMS-a ze zgryźliwą uwagą na temat nie-zrównoważonych emocjonalnie kościotrupów. Do dupy ze spotkaniami towarzyskimi i tak wszyscy nudzą mnie śmiertelnie i ja wszystkich śmiertelnie nudzę, po co więc wydawać pieniądze na płyny, kiedy w domu za darmo można.

Po powrocie podejmuję jeszcze jedną rozpaczliwą próbę poprawienia sobie nastroju i przebieram się w coś ładnego, w sukienkę dla odmiany. Staję przed lustrem. Wyglądam jak mokra wrona w worku przewiązanym sznurkiem. Chude, sztywne nogi, bez rajstop nie powinnam się nigdzie pokazywać, bo sinieją, pokrywają się siecią fioletowych naczyń krwionośnych, wygląda, jakbym miała gangrenę. Brak tyłka, o cyckach nie wspomnę... Koszmar. Postanawiam stanąć w prawdzie i wchodzić na wagę. 44,5 jak w mordę strzelił, ani grama więcej. W rozpaczę piekę schab ze śliwkami, idę na lody i gorącą czekoladę. Wieczorem chce mi się wymiotować.

MINI-EMILKA

O północy Emilka budzi się nagle. Dwa drobne ciała zwinięte w kłębuszki oddychają miarowo tuż koło niej. Zamęta przy dzieciach, skulona w nogach łóżka. Wstaje ociężała i poprawia opadające spodnie. Wielki wzdęty brzuch napina się nieprzyjemnie. Naciągnięta skóra swędzi i grozi pęknięciem. Prostuje się. Przeciąg, podchodzi do okna. Oddycha głęboko. Chłodny haust na orzeźwienie. Musi się obudzić, skończyć do rana tłumaczenie, wysłać je przed dziewiątą. Przed komputerem siedzi Wieloryb i ogląda pornosa. „Możesz mnie puścić? Muszę pracować”. „Zaraz, już kończę” – mruczy, nie odrywając wzroku od ekranu, na którym widać powiększone męskie jądra i fragmenty penisa wsuwającego się w ogoloną cipę. Emilka wzrusza ramionami, poczeka, posprząta w tym czasie. Zza kuchennej szafki wyjmie szczotkę, podnosi taborety i stawia je na stole. Powoli, tylko się nie śpieszyć, bo się zmęczy zbyt szybko i nie da rady dokończyć. Jeden za drugim, trochę w górę, przekręcić, o tak. Kręgosłup daje się jej we znaki, ale już się przyzwyczaiła do ciągłego bólu pleców. Jak się ma dwójkę małych dzieci i trzecie w brzuchu oraz postępującą skoliozę, to nie ma co liczyć na cud, takie życie. Wymiatą kurz z kątów, zbiera w kupkę na środku podłogi i kuca z trudem, żeby podmieść na szufelkę. Wstawia naczynia do zmywarki, mokrą szmatką przeciera blaty, chowa garnki do szafek. „Już możesz siadać!” – krzyczy Wieloryb. „Źle się czuję, jestem jakaś strasznie zmęczona”. „Boże, Emilko, ty zawsze jesteś zmęczona. Gdybyś nie marnowała całych dni na zabawę z dziećmi, to miałabyś to tłumaczenie dawno skończone i mogłabyś teraz spać”. W sumie ma rację, myśli Emilka, jestem strasznie nieorganizowana, powinnam

biesko-różową chorągiewką zaczepioną na szczycie radiowej anteny. Pnę się w górę krętymi uliczkami do zamku. Praga piękna jak zawsze mimo napierającego ze wszystkich stron tłumy, z którym, chcąc nie chcąc, muszę się identyfikować jako turystka. Przechodzę obok kawiarni z suszonymi płatkami róż zatopionymi w poręczach krzeseł. Siedemnaście lat temu siedziałam tu sama i marzyłam o tym, żeby on mógł siedzieć koło mnie i trzymać mnie za rękę. Teraz też o tym marzę, chociaż mam obwisłe piersi i zmarszczki na dekolcie. Nic się nie zmieniło od czasu liceum. Tęsknię za nim rozpaczliwie. Wywalam się na schodach ku uciechu gromadki rosyjskich dzieci i rezygnuję na chwilę z analizy mojego małżeństwa. Pomarańczowy parasol i jestem na górze. Mogę sobie spokojnie pozwolić na niestanie w kolejce do zamku i katedry. Byłam tu już kilka razy. Odganiam wyrzuty sumienia i składam solenną obietnicę, że tym razem nie odwiedzę ani jednego muzeum. Obchodzę wzgórze dookoła i wracam na drugą stronę rzeki. Na dole siadam w zaskakująco pustej kawiarni. Zamawiam latte z cukrem (dwie łyżeczki) i przysłuchuję rozmowie, która toczy się przy stoliku obok. Oprócz mnie jest tu jeszcze tylko mężczyzna pod pięćdziesiątkę z dwoma nastoletnimi synami. Jeden z nich siedzi na wózku inwalidzkim, Anglicy. Prowadzą ożywioną dyskusję na temat architektury miasta. Raz na dziesięć minut chłopiec na wózku zaczyna przeraźliwie wyć. „*Peter, stop it*” – prosi ojciec, na co Peter niezmiennie odpowiada, że jest pokrzywdzonym przez los kaleką i ma prawo do ekspresji własnych uczuć. Już to raz ustalili. A teraz właśnie czuje się źle co dziesięć minut. Przyglądam się chłopcu, który toczy pianę z ust, przewraca oczami i jęczy przejmująco, żeby po chwili roześmiać się szeroko i powrócić do przerwanej konwersacji. Pełna podziwu dopijam

kawę i zbieram się na umówione spotkanie ze znajomymi. Idziemy na obiad do tradycyjnej czeskiej knajpy. Suto, tłusto i niezdrowo. Bardzo przyjemnie.

UPADEK

Czerwiec, gorąco i pusto. We mnie pusto, w każdej części ciała, a w głowie najbardziej. Jestem ze znajomymi na Mazurach. Wyjazd przeznaczam na odzwyczajanie się od xanaksu. Czuję się źle. Mam nieustannie poczucie, że muszę walczyć sama ze sobą, ale nie wiem jak. Kiedy próbuję się rozluźnić, napotykam niezrozumiały wewnętrzny opór. Nie potrafię opanować gonitwy absurdałnych myśli w głowie ani ogarniających mnie co chwila fal przygnębia. Opadam, wirując, w dół, potem liczę i wyciągam się w górę, i znowu opadam, i znowu liczę, starając się utrzymać na powierzchni... Dokonuję wielkiego wysiłku i nie wiem nawet, z czym się zmagam. Co by się stało, gdybym przestała? Chyba nic, ale i tak nie potrafię odpocząć. To pewnie ta Pierwsza i ta Druga szarpia się ze sobą w środku. Nawet najbliżsi znajomi męczą mnie okropnie. Jem kanapkę z białym serem i uciekam na spacer do lasu. Czekam na nadchodzący wieczór jak na zbawienie. Mam nadzieję, że będzie lepiej, a jest coraz gorzej. Coś chwyta mnie za gardło i dławi, mam trudności z oddychaniem. Idę po lesie i płaczę jak małe dziecko. Boję się patrzeć na drzewa, bo drzewa służą do tego, żeby się powiesić. Czy ja wariuję? Zamkną mnie w szpitalu psychiatrycznym. Boże, ja nie chcę tam iść. Czy jest ktoś, kto mógłby mi pomóc? Do niego na pewno w takiej chwili nie mogę dzwonić, Gówieńską wykorzystałam już do granic możliwości, nie potrafię znieść rodziców, znajomi działają na mnie jeszcze gorzej, do głowy

przychodzi mi tylko psychiatra, więc wracam do punktu wyjścia i ogarnia mnie paniczny strach przed szpitalem i zamknięciem. Czy to, co się ze mną dzieje, to wynik uzależnienia od leku? Czy sama czuję się tak źle? Gdzie kończę się ja, a gdzie zaczyna chemia? Gdzie w ogóle jestem i kim jestem? Jestem wariatką i za chwilę wsadzą mnie w kaftan bezpieczeństwa. W tym momencie zapala mi się z tyłu głowy czerwona lampka. Kiedyś już tak się czułam. Doświadczenie z narkotykami bywa przydatne. Paranoja, mam paranoję. Wracam szybko do domu i biorę ćwiartkę xanaksu. Julia od razu się orientuje, że coś jest bardzo nie tak. Wsadza mnie do samochodu, jedziemy do sklepu. Płaczę na tylnym siedzeniu, nie odpowiadam na pytania, mam wrażenie, jakbym spadała głową w dół po biegnącej w głąb ziemi spirali. Nie stawiam oporu. Walka z paranoją tylko ją pogłębia, trzeba się poddać, popłynąć z nurtem i wtedy woda sama wyrzuci mnie na brzeg. Czekam. Pomału przytomnieję na tyle, żeby się odezwać. Jestem całkowicie wyczerpana, mam dreszcze i okropnie boli mnie głowa. Wracamy do domu. Uciekam na strych i leżę długo na materacu pod oknem. Potem znowu płaczę i znowu leżę bez ruchu wpatrzona w sufit. Czuję się, jakbym nie była sobą, tylko jakąś anonimową postacią z kiepskiego filmu, który oglądam obojętnie w sobotnie popołudnie. W końcu xanax zaczyna działać i dochodzę do siebie na tyle, żeby zejść na dół.

STO DWADZIEŚCIA DNI SODOMY

Mogłam mieć trzy, najwyżej cztery lata. Stałam w drzwiach łazienki, opierając się o framugę. To musiała być sobota. Pachniało pastą do podłogi, ojciec zawsze w so-

boty pastował przedpokój. Popołudniowe łagodne światło wpadało przez kuchenne okno i kładło na przeciwległej ścianie jasne podłużne plamy. Szukałam wśród nich idealnej figury, doskonałego prostokąta, ale wszystkie były wybra-kowane, lekko przechylone albo zaokrąglone na którymś z rogów. Ojciec wiązał mi buciki, a potem przytulił mnie i chciał pocałować jedną z moich małych rączek. Przeraziłam się i wyrwałam z jego objęć. Wiedziałam, że robię mu przykrość, spojrzał na mnie jakoś tak dziwnie, zaskoczony. Gdyby przypuszczał, gdyby chociaż przez myśl mu przeszło, co przed chwilą robiłam w łazience... Gdyby przyszło mu do głowy, że zamknęłam się od środka, żeby zdjąć majtki i dotykać swojej pupy, nigdy by już mnie nie pocałował. Poczucie winy pojawiło się jednocześnie z pierwszymi doznaniem erotycznymi. Dlaczego się wstydziłam? Skąd głębokie przekonanie, że robię coś złego? Przecież rodzice nie ukrywali przede mną nagości, nikt nigdy nie powiedział mi, że nie wolno się dotykać. A jednak wiedziałam, od samego początku rozumiałam, że popełniam przestępstwo. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął dręczyć mnie koszmar. Szłam w górę schodami, szukając piętra, na którym mieszkaliśmy. Byłam już bardzo wysoko, a wciąż nie mogłam natrafić na znajome drzwi. Zaczynałam więc schodzić, tymczasem na półpiętrze zatrzymywał mnie sznurek przeciągnięty w poprzek schodów. Na sznurku wisiała kartka z napisem „Nie ma przejścia”. Odwracałam się, żeby znowu spróbować wejść na górę, i tuż nad sobą widziałam wychyloną zza balustrady twarz mężczyzny o czerwonych, świecących oczach. Budziłam się z krzykiem. Na ile sen ten związany był z moimi niecnymi praktykami łazienkowymi, nie umiem powiedzieć. Oba zdarzenia łączą się jednak w mojej pamięci. Kiedy myślę o jednym, przypomina mi się drugie, i na odwrót.



wyglądam?” „Maju, to rozstań się z nim i tyle, naprawdę nie mam już siły, nikt nie ma siły tego dalej znosić”. „Spierdalaj!” Rzucam słuchawką o ścianę.

Nie odezwę się już nigdy do nikogo, nawet do Anny nie napiszę, zmienię adres, rzeczywisty i internetowy. Niech oni wszyscy się w końcu ode mnie odpierdolą.

OBSESJE

Który dzisiaj? Pierwszy, drugi grudnia? Minęło dziesięć dni, odkąd ostatni raz pisałam, wydaje mi się, że całe wieki. Jak na bieżąco opowiadać o tym, co się ze mną dzieje, kiedy w głowie mam chaos i cały świat zlewa się w brudną, półpłynną breję koloru rozpuszczalnej kawy Maxwell Gold. Mijają kolejne godziny, których nie rozumiem. Jestem całkowicie wykończona. Chodzę po Warszawie, próbując się czymś zająć, ale w Empiku mogę wysiedzieć tylko dwadzieścia minut, po czym biegnę do ubikacji w Domach Centrum i wymiotuję kawą, która ma kolor moich myśli. Jadę do Emilki i leżę odrętwiała na łóżku w pokoju dzieciennym w butach i kurtce, których nie zdołałam z siebie zdjąć. O drugiej ktoś wciska mi do ręki kubek gorącego rosołu. „Jesteś bardzo chora – szepcze Emilka. – Maju, musisz iść do innego lekarza. To nie jest depresja, to coś innego. To chorobliwe, maniackalne skupienie na sobie i zbyt intensywne przeżywanie rzeczywistości. Nie wytrzymasz tak dłużej. Musisz brać leki”. „Tak, tak” – odpowiadam półprzytomnie. I obie wiemy, że nic z tego, co mówi, do mnie nie dociera. Wstaję, muszę wracać do domu, muszę tam być, zrobić obiad, posprzątać. Czy on jest w domu, czy zostanie dziś na noc? Czy będzie ze mną rozmawiał?

„Co mam robić?” – pytam przerażona i w skupieniu słucham odpowiedzi, z której nic nie rozumiem. Nie mam siły, żeby dojść do przystanku autobusowego, i stoję nagle, zgięta w pół, a łzy lecą mi po twarzy, co dostarcza tematu do rozmów na następne dwa dni staruszkom spod sklepu spożywczego.

Rozmawiają o mnie. Zgadzą się, niech rozmawiają, Emilka i Julia z Szymonem. Szymon nie odzywa się do mnie od dwóch tygodni. Skurwiel jeden. Szymona nienawidzę i nie potrafię bez niego żyć. Dobra, idę do lekarza, nie, nie innego, tego samego. Nie będę w kółko wtajemniczać coraz to nowych obcych ludzi w tajniki swojego popapranego życia. Nawet mi, czołowej ekshibicjonistce, już się to znudziło. W czasie wizyty opowiadałam to, czego wcześniej nie mówiłam, bo wydawało mi się nieważne albo się wstydziłam. Obsesja na tle depresyjnym albo zespół kompulsywno-depresyjny, czy jak to się nazywa. Emilka zdiagnozowała mnie bezbłędnie. Wracam do domu, dzwonię do niej jakieś siedem razy. „Powiedz mu”. „Nie, błagam cię, nic mu nie mów. Obiecuję, że nie powiesz. Przysięgasz?”

Zasypiam na kanapie w sypialni, o siódmej do pokoju wpada on. Już mu oczywiście powiedziała. „Ty obsesyjna maniaczko!” – śmieje się do mnie. Przytulamy się do siebie mocno, płacząc. Oboje odczuwamy ulgę, przynajmniej cokolwiek wiadomo, coś się wyjaśniło. Następne dni upływają pod znakiem potwierdzania diagnozy u innego lekarza, powtarzania w kółko, że jestem „bardzo chora”, w co nie wierzę, a jednak wierzę i znowu nie wierzę. Ale zrobię wszystko, wszystko, żeby się lepiej poczuć, wszystko, co mi każą, połknę każdą pastylkę, wykonam każde ćwiczenie, obiecuję, przysięgam. Tylko niech się to wreszcie skończy.

Jezu... Odkąd się dowiedziałam, że moje myśli są obsesyjne, zaczęłam mieć obsesję na punkcie tego, że mam obsesyjne myśli. Jestem zmęczona, zmęczona tak strasznie, że chyba za chwilę oszaleję. Chociaż tego też nie mogę zrobić, bo mam to już za sobą. Próbuję nie zastanawiać się nad tym, jaka część mnie jest normalna, a jaka nie, i które konkretnie pomysły, poglądy, idee, zapatrywania, podejścia, ustosunkowania się do, plany, koncepty, skróty myślowe, olśnienia, interpretacje, objawienia, epifanie, iluminacje, inspiracje, refleksje, konkluzje czy wnioski znajdują oparcie w rzeczywistości, a które są tylko wytworem mojego chorego umysłu. Postanawiam nie zwracać uwagi na nic, co bierze swój początek w mojej głowie. Nie segreguję, nie klasyfikuję, nie przerabiam ani nie poddaję weryfikacji, wszystko wywalam, jak leci, do kibla i ciągnę za spłuczkę. Wytrzymuję w ten sposób od piątku do środy. W środę wieczorem uciekam na piwo do Luny. Piję szybko, palę trzy papierosy i zastygam nad pustą szklanką z twarzą schowaną w dłoniach. Mam godzinę, zanim Mania zacznie się denerwować, że mnie nie ma w domu. O dziewiątej wracam chwiejnym krokiem, pręc chodnikiem na przekór zimnym powiewom wiatru. Z daleka widzę nasze okna, wysoko ponad drzewami, trzy jasne prostokąty wycięte na tle ciemnego budynku. Jak zwykle wydaje mi się, że w środku jest zbyt jasno, i boję się powrotu. Boję się jazdy windą, niepozmywanych naczyń w zlewie, tego, że go nie zastanę i będę musiała walczyć z paranoją, która oblepi mnie ciasno swoimi mackami, nie pozwoli oddychać. Ale wracam, nie mam wyjścia. Nie ma innej opcji, a jeżeli jest, to tylko gorsza od wieczoru spędzonego samotnie z Manią śpiącą spokojnie w pokoju obok. O dziesiątej udaje mi się niepostrzeżenie wysliznąć na klatkę schodową i wyjść bez-

głośnie przez pół godziny, z żalu nad sobą, ze złości i jeszcze dlatego, że jest mi po prostu bardzo źle. Płacz przynosi ulgę i zmęczenie. Wracam, rozkładam łóżko, chowam się pod kołdrą i drzemię. Mam osadzone mocno w rzeczywistości, całkowicie realne sny: sprzątam, robię zakupy, czekam na autobus. Absolutnie żadnej paranoi w tych snach nie da się odnaleźć, nudno jak w normalnym życiu, nic ciekawego. Budzi mnie chrobot klucza w zamku. Wraca on, bardzo pijany i bardzo nieszczęśliwy. Wygląda na to, że przeżywaliliśmy to samo, tyle że oddzielnie. Skarży się żałością na życie, na świat, na ból istnienia, na wszystko, tylko nie na mnie, po czym zasypia, nie rozbierając się, w wiklinowym fotelu. Transportuję go do łóżka i przywieram mocno do szerokich pleców, które unoszą się i opadają miarowo, delikatnie kołysząc mnie do snu.

Siedzimy we cztery, kobiece spotkanie u Julii. Jak bardzo się postarzałyśmy. Czy ja też? Czy to w ogóle możliwe? Monika zapuściła włosy, ale nie są takie jak kiedyś, lśniące i naturalne, tylko zmechacone jak kłaczki waty, suche, pofarbowane, opadają jej na plecy związane w warkocz staruszeki. Zmarszczki i zbyt ciemna skóra, jakby makiż miał nas odmłodzić. Potrzebuję rozmawiać, potrzebuję mówić do kogoś nieustannie, jakbym mogła w ten sposób zapęłnić tamten brak, to puste miejsce. Ale one tylko o dzieciach, o mleku znowu, pieluchach, o tych nieprzespanych nocach i zwymiotowanych kaszkach. Mnie to nie dotyczy. Zresztą, gdybym nawet coś powiedziała, i tak nie miałyby to sensu. Odbiłoby się od nich i wróciło do mnie, nie zmieniając kształtu, całkowicie bezwartościowe. Bo tego miejsca nie da się zapęłnić, ilekroć coś tam wrzucam, dostaję zawrotów głowy, jakbym patrzyła w głąb studni, przechylona niebezpiecznie, chwytając się

rękami drewnianej klapy, żeby nie wpaść. Nie da się zamknąć tej szczeliny ani wypełnić jej twardymi, ostrymi przedmiotami wyrosłymi z rozmów i moich myśli. Żeby się jej pozbyć, musiałabym pójść na kompromis, udawać przez długi czas, że jej nie ma, ignorować ją, aż w końcu zarosłaby chwastami, pokrzywą i pierzastymi trawami, których nazw nie znam. I zapomniałabym. Mogłabym bezpiecznie przechodzić po niej, stawiać ciężkie kroki, nie zapadając się w głąb. Tak myślę, tak mi się wydaje, łudzę się, że mam wybór.

Mogłabym wstać, wyrzeć przez okno, zapamiętać niebieskoszare miasto, zapach mokrego tynku i daleki odgłos klekoczącego tramwaju, mogłabym, tylko że nie chcę i ta chwila przepływa przeze mnie swobodnie. Nie stawiam oporu. Chwile, które nosimy w sobie do końca, razem z zapachem trawy, kolorem nieba, czymś, co zawsze już będzie je wywoływać, jak zdjęcia ze starej kliszy, chwile, dzięki którym mówimy: budzę się, żyję.

„Dzisiaj spadnie desc” – sepleni mała Kalinka i gramoli się na kolana Julii. Niebo zaszło chmurami, które są jak włosy Moniki, postrzępione i bez połysku.

Ciągle pragnę czegoś tak bardzo. Gdybym tylko wiedziała czego. Gdybym się tego dowiedziała, stałoby się coś złego. Bo ja nie powinnam już niczego zapamiętywać, do niczego się przywiązywać. Gdybym zapęłniła szczelinę, gdybym o niej zapomniła, to byłoby tchórzostwo. Nie ma nic boleśniejszego, nic bardziej autentycznego niż pustka, której trzeba dotknąć i pozwolić się jej zagarnąć.

„Emilko, wytłumacz mi, na czym to polega? Co robię inaczej niż wszyscy?” „Nic, Maju, wszystko robisz tak samo”. „To dlaczego uważacie, że jestem chora? Powiedz mi, proszę”.

„Wszystko robisz tak samo, tylko silniej, więcej, bardziej. Twoje uczucia są racjonalne, smutek i gniew uzasadnione, tylko proporcje nie takie. Rozumiesz?” „Rozumiem. Chyba...”

W nocy wracam kompletnie pijana. Oстрыm nożem przecinam sobie nadgarstki i wbijam czubek w stopę, niezbyt głęboko, żeby mocno nie krwawiło i żeby jutro nikt nie zauważył.

PEKNIĘCIE

Na skrawku papieru pan S. rysuje schemat. Schemat decyzji, które powinnam podjąć. „Jest pani tu – wskazuje punkt na samej górze. – I co zamierza pani z tym zrobić?” „Nic – odpowiadam – nic nie będę robiła. Nigdzie mi się nie spieszy”. „Czy pani rozumie, dlaczego to wszystko się zdarzyło?” Uśmiecham się. „Pani zawsze musi być najlepsza, prawda? Nawet załamała się pani z takim hukiem, w tak spektakularny sposób, że nie było czego zbierać”.

Wychodzę w wiosenne słońce. Na Wałbrzyskiej baby przysiadły wzdłuż krawężników, sprzedają młode kartofle i ogórki małosolne. Nawet nie zauważyłam, jak minęła zima, bezmroźna i bezśnieżna w tym roku, pełna błota, gnijącej trawy i psich kup na trawnikach. W Boże Narodzenie życzyliśmy sobie zdrowia, całkowicie poważnie.

W lutym minął rok, odkąd to się zaczęło. Właściwie dobrane lekarstwa zadziały szybko. Po dwóch tygodniach potrafiłam już zapanować nad obsesyjną podejrzliwością. Natrętne myśli nadal mi towarzyszyły, ale udawało się odsunąć je na bok, zatkać uszy, zacisnąć powieki. Po trzech tygodniach cienie jakby zbladły, zapadły się w siebie. Powoli

nabierałam odwagi, żeby się im przyjrzeć. Powoli nabierałam sił do walki. Zaczęłam wychodzić z domu, bywać. Ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że od roku nie spotykam się ze znajomymi, ograniczam do widywania Emilki i Julii oraz wydzwaniania do Gówienu. Dłuższe przebywanie z kimkolwiek innym było wcześniej nie do wytrzymania, albo dla mnie samej, albo dla tych, którzy próbowali utrzymać ze mną kontakt. Nie boję się już, idąc ulicą, że wpadnę na kogoś, że będę zmuszona z kimś się przywitać, nie jeżdżę na samotne piwo na Bemowo, żeby mieć pewność, że nikt się nie przysiadzie do mojego stolika. Założyłam konto na Facebooku. Wieczorami siedzę przed komputerem i palę pety. Dużo palę, chyba z paczkę dziennie. Skóra marszczy mi się od tych papierosów, i od tego, że nie mam już dwudziestu lat, też się marszczy. Stukam, stukam bez sensu, serfuję po blogach, zaglądam w obce życia, zwykle tylko na chwilę, bo nudzą mnie śmiertelnie cudze rozterki i frustracje, swoich mam wystarczająco dużo.

Pracuję już pięć miesięcy. Jak zawsze stawiam na swoim. Od dawna wiedziałam, że chcę uczyć w szkole. Nie przyznawałam się do tego ani przed sobą, ani przed innymi, żeby przypadkiem nie musieć prowadzić dyskusji (wewnętrznych i zewnętrznych), które niewątpliwie stawiałyby mnie na z góry przegranych pozycjach. W zamian za to konsekwentnie dążyłam w obranym kierunku, bez zbędnych konsultacji, weryfikacji i ustaleń, których i tak przecieź bym nie dotrzymała. Nigdy więcej pracy naukowej. Dojrzało we mnie głębokie postanowienie, żeby rzucić ją na zawsze, a jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na długi czas, albo chociaż na jakiś czas. To mnie już znudziło, nie mam na to ochoty w ogóle albo prawie w ogóle. Laboratoria są puste; puste, smutne i jałowe. Moje doświadczenia

nikomu ani niczemu nie służą. Sztuka dla sztuki, na dodatek niemająca nic wspólnego z pięknem. Zadziwiająco absurdalna kombinacja.

Szkoła jest pełna ruchu, dzieci o różnym kolorze skóry, różnych rysach, zapachach, stopniach czystości ciała i przetłuszczenia włosów. Biegają, krzyczą, tarzają się po podłodze albo toczą rozmowy na serio o sensie życia w zakamarkach korytarzy. Poważni, pryszczaci, długowłosi, wypisują swoje bóle egzystencjalne na ścianach w kiblu. Szkoła jest pełna dzieci miękkich jak wosk, podatnych na formowanie jak plastelina, z niewyczerpanym potencjałem. Są świeży, niewinni i pełni nadziei, z czego zupełnie nie zdają sobie sprawy. Mają średnio po piętnaście lat i wszystko jest dla nich możliwe. Krańcowe beztalencja muzyczne widzą się w roli przyszłych gitarzystów rockowych, ograniczone intelektualnie dziewczęta piszą wiersze, a niedorozwinięci fizycznie malcy o cienkim głosie i ledwo widocznym, delikatnym puszką nad górną wargą planują nieograniczone podboje miłosne. Praca z nimi wymaga utrzymywania stałej subtelnej równowagi między zażyłością a dystansem, przyjaźnią a autorytetem, swobodą a nakazem. Z początku są nieufni, trwa to jednak bardzo krótko, jedną, dwie lekcje. Potem podejmują decyzję, na podstawie bliżej niesprecyzowanych przesłanek, najczęściej skrajną: nie znoszą albo uwielbiają. Następnie konsekwentnie niszczą albo próbują wejść na głowę. Ale zawsze są pełni życia, bezpośredni, pełni uczuć silnych i mało skomplikowanych, za to autentycznych i przez to dużo bardziej dramatycznych niż uczucia dorosłych. Oczywiście zazdroszczę im.

Pan S. jest zadowolony, ale nie daje za wygraną, ani on, ani ja. Nadal się więc spotykamy, nadal łykam pigułki: podłużne, z grzechoczącymi granulkami w środku, czerwone na sen i różowe na uspokojenie. Wracam metrem do

domu, mnąc w kieszeni kolejną receptę. Wsiadam przy Polu Mokotowskim, a potem idę ulicą wśród topoli, lawirując między spadającymi z góry ptasimi kupami. Nie przeprowadziłam się, jakoś mi się odechciało. Wjeżdżam windą na dziewiąte piętro. Otwieram drzwi, ściagam tenisówki i siadam ciężko w wiklinowym fotelu. Jestem zmęczona wizytą u psychiatry. To, co się stało, na zawsze pozostawi we mnie szczelinę. Pęknięcie, które jest niebezpieczne, bo jest możliwością, potencjalnym miejscem do wykorzystania. Noszenie go ma w sobie coś z hazardu, jest ryzykowne, ale wbrew temu, co radzi mi pan S., nie chcę niczego domykać.

Telefon, dzwoni Emilka, żeby się umówić. „Dobra, to zadzwoń do Julii”. Dzwonię do Julii, a ona z powrotem do Emilki, Emilka do mnie i tak w kółko przez godzinę. Po długotrwałych negocjacjach dotyczących tego, co zrobić z wolnym piątkowym wieczorem, postanawiamy iść na koncert. Pada deszcz, wiatr zacina jak wściekły. Stoję na ulicy, tupię nogami ze złości, czekam na Emilkę, co jest oczywiście błędem, bo na Emilkę nie powinno się czekać, jeśli chce się zachować dobry humor. Jest. Spóźniona jedyne czterdzieści minut. Podjeżdża swoim nowym samochodem, kupionym chyba na złomowisku, macha ręką, powiewa malinową chustą. Wsiadam. Z tyłu, między dziecięcymi fotelikami, kuli się Julia. Trzy zapachy perfum mieszają się w samochodzie. Trzy pary ogolonych nóg, trzy torebki, trzy pary kolczyków, trzy szminki w różnych kolorach. To my, trzy panie pod czterdziestkę, jedziemy na podbój miasta. W Kulturalnej tłum, brak miejsc siedzących i trudno oddychać, bo atmosfera gęsta od dymu. Koncert bardzo fajny. Upijam się, przyznając szczerze, ale nie bardzo, tak na dobry nastrój i większą niż zwykle pewność siebie. Piwo jest zimne, szklanka paruje, moczy dłonie. O czym to rozmawialiśmy?

Wracam nad ranem do domu. W skrzynce mail od Anny. Ostatnio nie mogę się już bez niej obejść. Odmierzam czas listami, na które czekam.

Trzeba z nią uważać, pilnować się, nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, nie mówić za głośno, żeby się nie przestraszyła, nie wycofała. Siedzi naprzeciwko, uśmiecha się nieśmiało. Boi się, ja też się boję. Zostawiła dzieci z mężem, przyjechała na jedną noc, nagle, bez uprzedzenia. Zadzwoiła o świcie, że jest już w Warszawie, żeby jej otworzyć. Pół godziny później była w domu, a teraz siedzi przede mną, moja Anna. Piszemy do siebie już od miesięcy, ale do tej chwili była wirtualna. Nie wiedziałam, jak wygląda, nigdy nie prosiłam o zdjęcie, nawet jej sobie nie wyobrażałam, może na wszelki wypadek, żeby się nie rozczarować. Nie rozczarowałam się. Jest dokładnie taka, jaka miała być, delikatna i przezroczysta jak kawałek bibułki. Siedzi przy stole i podciąga moim zwyczajem kolana pod brodę. Długie chude nogi, stopy tak wąskie, że trudno sobie wyobrazić, że można za ich pomocą utrzymać pionową postawę, białe dłonie o wysmukłych palcach. Drobną, subtelną twarz, papierowe usta, lekko wystające kości policzkowe i regularne, zrośnięte nad nosem brwi tworzące dwa idealnie symetryczne łuki.

Powoli świta i zimne, szarobłękitne światło wypełnia kuchnię, walcząc o pierwszeństwo z ciepłą żółcią lampy. Za oknami domy nabrały kanciastych kształtów i trupich kolorów. Anna zwija papierosa, a dłonie drżą jej tak bardzo, że tytoń rozsypuje się raz po raz po blacie. Pijemy kawę latte, z cukrem, dwie łyżeczki, milczymy. Nie bój się, Anno, nie bój się mnie.

Dzień mija niepostrzeżenie, nawet nie wiem, co dokładnie robimy, nie pamiętam. Włączymy się po parkach, leżymy

gdzieś na ławce. Trzymam jej chłodną, drobną dłoń w swojej. Z daleka patrzę, jak chodzi, stawia miękkie, nierówne kroki, pociąga prawą nogą. Anno, chodź tu. Zostań ze mną. Pozwól mi zanurzyć ręce w twoich gęstych włosach, dotknąć szczupłych bioder, przesunąć dłonią po podbrzuszu. Dotknij mnie, tak bym chciała, żebyś mnie dotknęła, masz delikatne, łagodne dłonie, dłonie kobiety. Pokaż mi, jak zaglądasz w oczy, jak głaszczesz po policzku. Gdybym mogła z tobą zostać, zakochałabym się w tobie. Zapamiętałabym, jak pachną twoje ubrania, jaki smak ma zagłębienie twojego ramienia. Policzyłabym blizny i pieprzyki na twoim ciele, wiedziałabym, czy wolisz jajko na twardo czy na miękko, czy nosisz skarpetki od pary czy zawsze takie same. Patrzyłabym, jak malujesz, myła po tobie pędzle, wycierała flanelową szmatką plamy z podłogi. Chodź do mnie, Anno...

Rano budzimy się w malutkiej sypialni na dziewiątym piętrze bloku, który w latach sześćdziesiątych zdobył tytuł mistera budownictwa. Anna obejmuje mnie w pasie, przyciąga do siebie i mocno całuje w usta. Opieram głowę na jej ramieniu, głaszczę delikatnie piersi o dużych, nieforemnych sutkach. „Szkoda, że się nie udało” – mówię z żalem. Inanna się śmieje, śmieją się jej oczy, drgają kąciaki ust, trzęsą się piersi. „Nie martw się, może nie wszystko stracone, może w tych klinikach, w których oduczają homoseksualizmu, mają też programy biegnące w przeciwnym kierunku”. Odprowadzam ją na dworzec, macham na pożegnanie. Do widzenia, Anno, moja Anno In, która wyłowiłaś mnie z sieci, polubiłaś taką, jaką jestem. Wracam do domu. Tęsknię już do Szymona i Mani, niech w końcu wrócą z tych wakacji.

Mam trzydzieści pięć lat. Zaczynam od nowa i jestem z tego zadowolona.